



Kamil Bałuk

WSZYSTKIE DZIECI LOUISA

w walce o zdrowie
 że dotychczasowe badania do-
 orworami kości i płuc (które
 b „rodzinach rakowatych”
 6 w sposób definitywny, że
 linego z ich przeniesieniem
 Tak więc należałoby przy-
 przenoszą się z pokolenia na po-
 przez komórki rozrodcze, czy

że wiele — może i więk-
 szym, że jest prawdą.
 przyczyną choroby, czynnik ra-
 zym, że jest prawdą.
 przyczyną choroby, czynnik ra-
 zym, że jest prawdą.
 przyczyną choroby, czynnik ra-
 zym, że jest prawdą.

SERIA REPORTERSKA

Przypadkach promienie Ro-
 Warto by również przestrzec ma-
 z rodzin, w których pierś
 aby nie karmili dzieci mo-
 wszystko co w tej chwili mo-
 jednak nadzieja, że problem ra-
 w niebył odległej przyszłości

O odporności naturalnej
 Człowiek broni się
 razkiem chorobow
 zwracaliśmy uwag
 niż w chwili ob
 jeszcze mikroba
 też zarazkami
 żerujących
 czyniających
 „sapro-
 cyni-
 f-

O ODPOR



WSZYSTKIE DZIECI LOUISA

FRAGMENT PROMOCYJNY

Kamil Bałuk
WSZYSTKIE DZIECI LOUISA

FRAGMENT PROMOCYJNY

Z listu mogli się dowiedzieć, że są potomkami holenderskich niewolników, prawdopodobnie mieli w rodzinie Żyda, ich przodkowie przyjechali do Holandii w latach pięćdziesiątych i że w poprzednich pokoleniach byli wśród nich lekarze i nauczyciele.

Mogli. Ale nie wszyscy list przeczytali.

Matthijs ucieszył się, że w wieku dwudziestu dwóch lat wreszcie wie, skąd pochodzi. Ale sam dokument wydał mu się trochę wariacki. Strasznie dużo szczegółów o rodzicach, dziadkach, pradziadkach, po co w ogóle ktoś sporządził coś tak olbrzymiego? Nie przeczytał całości.

Chciał mieć przed oczami tę jedną konkretną osobę, zamiast coś sobie na jej temat wymyślać. Po co się uprzedzać.

Najpierw cię spotkam, potem do tego wrócę, myśli Matthijs.

Ale do listu nie wróci nigdy.

Amanda i Boy przejrzeni jedynie zdjęcia. Stwierdzili, że nie ciekawi ich jakaś obca rodzina.

Nieco później Amanda znajdzie ten list podczas przeprowadzki. I go wyrzuci.

– Trochę z żalu, z gniewu.

– Na niego?

– Na niego.

Tamtego dnia dostają od pracowników F10M tabelkę. Wpisują odpowiadające im terminy spotkań z dawcą.

Pracownicy F10M spotykają się jeszcze z każdym z osobna.

Ostrzegają:

– Kontakt z ojcem biologicznym może być trudny.

– Nie będzie tak źle – mówi ktoś.

– Może jest was w Holandii dużo więcej, niż myślicie – ostrzegają znowu.

– Ile?

- Więcej niż dwadzieścioro pięcioro.
- No to ile konkretnie?
- Może nawet dwie setki.
- Ileeee?

Matthijs wspomina, że już nawet nie pytali, jak to się w ogóle stało, że ich dawca spłodził w Holandii aż tyle dzieci.

Uznali, że lepiej będzie, jak sam im to wyjaśni.

Amanda i Boy przed lustrem

„Amanda, tam na końcu peronu stoi chyba nasz dawca”.

Takiego zdania nie słyszy się często.

Istnieje w życiu pewna skończona liczba przypadków, w których mogłoby się pojawić. Całkiem zresztą możliwe, że ta liczba to jeden.

Przeciętny człowiek nie usłyszy tego zdania nigdy.

Jest pewna konieczna liczba warunków, które muszą zostać spełnione, żeby ktoś wypowiedział takie zdanie, żeby ktoś inny je usłyszał i na nie zareagował.

Warunków takich jest sporo i rzadko udaje się je wszystkie spełnić.

Bo nawet jeśli ktoś, tak jak Amanda, dwudziestoczteroletnia pielęgniarzka z Dordrechtu, jest jedną z kilkudziesięciu tysięcy osób w Holandii, które urodziły się dzięki sztuczному zapłodnieniu, to przecież wcale nie musi wiedzieć, że właśnie tak została poczęta.

Ale założmy, że wie. Specjaliści szacują, że wie dziesięć procent. To zawęży grupę do kilku tysięcy osób.

Wśród nich ledwie kilkaset poddaje się testom. Kilkadziesiąt dostaje informację, że mają zgodność DNA z osobą zarejestrowaną w bazie. A może kilkanaście, bo w 2011 roku, a wtedy pada to zdanie, ta baza jest wciąż mała. Jest więc prawie niemożliwe, żeby usłyszeć zdanie o dawcy.

Amanda: – Na spotkanie umówiłam się w siedzibie FIOM w Bredzie. Uzgodniliśmy, że jedziemy razem, ja i mój brat Boy. To blisko, z Dordrechtu mamy bezpośredni pociąg. Jeśli ktoś nie ma bezpośredniego, przesiadka do Bredy jest na naszym dworcu.

No i on miał właśnie taką przesiadkę.

Staliśmy na peronie, nagle Boy mówi, że nie jest pewien, ale chyba go widzi.

Odwrociłam głowę, zerknęłam na twarz. To on.

Wysłał nam wcześniej zdjęcie, więc wiedziałam, jak wygląda. Sam naszych fotografii nie dostał, nie znał nas.

To było coś więcej niż rozpoznanie twarzy ze zdjęcia. Pierwsze, co pomyślałam, to: Ooo, hej, cześć! Uczucie jak wtedy, kiedy zobaczysz dawno niewidzianego znajomego. Zajmuje ci to chwilę, ale w końcu wyłapujesz znajome rysy. Powiedziałam do Boya: „Shit, masz rację, to na pewno on. Nie podchodzimy”.

Dlaczego? No jak to dlaczego.

To chyba jasne, że nikt nie chciałby poznawać swojego dawcy na dworcu.

W Bredzie okazało się, że mieli rację: mężczyzna z peronu był ich biologicznym ojcem, a oni jego biologicznymi dziećmi.

Dla nich to było dziwne, nowe, nie do uwierzenia.

Dla niego to było tylko nowe. Pamiętał przecież, co robił dwadzieścia lat wcześniej. Spotkanie z Amandą i Boyem, na które wybrał się pociągiem, było pierwsze – pozostałe Połówki wskazały późniejsze daty.

Chyba się denerwował. Amanda zapamiętała jego nerwowe tiki. Takie same miał Boy, kiedy był młodszy. A, czyli ma to po nim, pomyślała, i jakiś mały puzelek znalazł w jej głowie właściwe miejsce.

Dawca był miły, kulturalny, trochę się uśmiechał.

Amanda: – Tylko że opowiadał jedynie o sobie. Gadał, gadał, robił przerwę na zdjęcia pradziadków z albumów, znów głądził. Nie

dało się mu przerwać. Czułam się dziwnie. Chciałam przynajmniej usłyszeć, kim jest, co robi. I chociaż cała reszta mnie nie obchodziła, on i tak opowiadał.

Potem miał dla nas propozycję – porównajmy w lustrze nasze twarze! Zdziwiliśmy się.

Nie zadał nam też żadnego pytania. Wyobrażałam sobie, że będzie chciał dowiedzieć się czegośkolwiek o tym, kim jesteśmy.

No i źle sobie wyobrażałam.

Henrik ma fałszywy paszport

Pokój był ciemny, a mężczyzna wyglądał posepnie. Miał na sobie brązową marynarkę i jasną koszulę. Siwy, w okularach. Tak to pamięta.

Czy to ten moment, na który czekałem tyle lat, pomyślał Henrik w chwili, gdy otwierał drzwi. Ścisnęło go w brzuchu ze zdenerwowania.

Jaleesa: – Potwierdzam, Henrik się denerwował. Tak bardzo, że ze stresu pomylił godziny i przyszedł w moim terminie. Miałam być tylko ja i dawca, a wszedł jeszcze Henrik z żoną i córeczką.

Okej, pomyślałam, zapowiada się niezłe rodzinne spotkanie. Panowie niezbyt dopuszczali mnie do głosu. Ale już to, o czym rozmawiali, było tak ciekawe, że z chęcią słuchałam.

Henrik: – Pokazałem mu paszport dawcy, który dostała moja matka. Cechy fizyczne, hobby. Patrzyliśmy, jak koncentruje wzrok na kartce. Śmiesznie to wyglądało, jakby sprawdzał szkolną kartkówkę. Tu zaznaczył ptaszek, tam krzyżyk, pod nosem mówił: „zgadza się” albo „nie zgadza się”.

A nie zgadzało się prawie nic.

Wzrost pomylony o centymetr, waga zaniżona. To się zdarza. Pozostałe błędy trudno było tłumaczyć roztargnieniem.

Data urodzenia – pomyłona o kilka lat.

Miejsce urodzenia – nieprawdziwe.

Wykształcenie – zawyżone, miał tylko liceum.

Praca – faktycznie w banku, ale na niższym stanowisku.

Przy „jestem człowiekiem wysportowanym”, „lubię spędzać czas w gronie znajomych”, „w dzieciństwie byłem dobrym uczniem” dawca powiedział wyraźnie: – Totalne bzdury.

Zdziwił go też zapis o żonie i dwojce dzieci. Żony nie miał nigdy.

Do Henrika dotarło, że dokumenty z kliniki nie mają żadnego pokrycia w rzeczywistości.

Henrik: – Wręczyłem mu list, który wysłał mi kiedyś doktor Karbaat, z pamiętnym cytatem: *dawca jest obecnie szczęśliwy ze swoją nową żoną, wobec czego odmawia jakiegokolwiek kontaktu z konsekwencjami swego uprzedniego dawstwa*. On uznał to za bzdury i powtórzył to, co mówił Karbaatowi: że chętnie spotka się z każdym dzieckiem.

Gdy pytam, co czuł podczas tego spotkania, Henrik mówi:

– Jakiś dziwny smutek. Dowiedziałem się po latach, że ojciec, co do którego byłem pewny, że nie chce kontaktu, zawsze był gotów mnie poznać. Nawet jeśli... – tu Henrik waha się kilka sekund – nawet jeśli poznanie kogokolwiek wykracza poza jego możliwości.

– Co masz na myśli? – pytam.

– Spytaj Maaike i Matthijsa – uśmiecha się.

Maaike i Matthijs spotykają boga

Maaike: – Chciałam iść sama.

Matthijs: – Ale ja nie chciałem i poprosiłem, żebyśmy poszli razem. Miałem nosa.

Teraz Matthijs opowiada: – Weszliśmy do pokoju, siedział z grubymi albumami ze zdjęciami. Trochę jak czarownik, troll z bajki, dookoła którego leżą książki. Już ten widok był niespodziewany.

Popatrzył na nas, wypowiedział na głos nasze imiona. Maaike i Matthijs.

Potem nazwisko. Stare, to, pod którym się urodziłem. Byłem w szoku – skąd niby je znał?

Podał naszą datę urodzenia, adres. Już nieaktualny. Dodał kod pocztowy. Jak to możliwe? Sam już nie pamiętałem tego kodu.

Milczeliśmy, a on mówił dalej:

– Wiedziałem. Wiedziałem, że muszę zapamiętać te dane. Oto wreszcie jestem. Witajcie.

To nas zupełnie zbiło z tropu.

Przytulił mnie jakoś nienaturalnie. Nie rób tego, pomyślałem. Patrzył badawczo na nasze twarze.

– Brązowe oczy, zgadza się. Matthijs, jesteś ponoć najbardziej artystyczną duszą wśród moich dzieci? A twoje oczy – popatrzył na Maaike – są niebieskie? To dziwne. Może prababcia takie miała? Ale uśmiech rozpoznaję, masz typowy.

Pomyślałem: okej, już czuję się nieswojo. Może uciekniemy?

Wtedy przynieśli nam wodę i herbatę.

– Skoro szukaliście mnie przez telewizję, chyba cieszycie się, że wreszcie was uratowałem – powiedział.

– Uratowałeś?

– Mieliście w życiu pecha do mężczyzn. Postanowiłem przyjść wam z pomocą. Wreszcie możecie poznać swojego prawdziwego ojca. Jesteście uratowani.

Zaczął opowiadać i nie dało mu się przerwać. Monolog bez żadnej pauzy. Mówił tylko on:

– Wiecie, pracowałem w banku, ale mi się nie podobało, chciałbym zajmować się energią reiki, jestem teraz mistrzem reiki, szukam

drogi do wyższej energii, wiecie, byłem ostatnio na wystawie o zjawiskach paranormalnych, powinniście na nią pójść, bo kiedy weszliście do pokoju, poczułem ukłucie w żołądku, to dowód, że też macie w sobie tę energię.

Pomyślałem, że niezbyt mnie obchodzi to, co mówi. Czy to takie trudne zadać jedno głupie pytanie? Kim jesteście? Jak się czujecie? Czy tego się spodziewaliście? Czy wyglądam tak, jak sobie wyobrażaliście?

Ale żadnych pytań nie było. Gadał bez przerwy. Raz czy dwa o coś zapytał, ale były to tylko pytania związane z nim samym.

– Macie problemy z zębami?

– Tak.

– To też po mnie.

Strasznie się cieszył, kiedy nas oglądał. Powiedział, że podoba mu się mój wygląd, że ładnie mu wyszedłem.

Co to znaczy: wyszedłem?

Powoli zaczynałem rozumieć, że patrzy na mnie jak na preparat. Produkt, przy którym odnotowuje: aha, to jest ta wersja.

Mówił dalej:

– Chodziłem do szkoły, nie lubiłem jej, wolałem zajmować się swoimi sprawami, lubiłem komiksy, lubiłem też swój pokój, miałem w nim telewizor, to był mój ulubiony telewizor, babcia opowiadała mi te same religijne przypowieści po trzy razy, ojca nienawidziłem, nie znosiłem też matki, kiedy miałem trzydzieści cztery lata, wyprowadziłem się z domu, mama chciała się przeprowadzić do innego faceta, czułem się zdradzony, oszukany, wiedziałem, że nie mogę dalej tam mieszkać.

Pomyślałem: Wow. O-co-tu-do-cho-le-ry-cho-dzi?

Siedzieliśmy, gapiliśmy się bez słowa i słuchaliśmy. Zerknąłem na stół. Torebka herbaty była zanurzona, ale nie zaparzyła się. Nic dziwnego. Zamiast do wrzątku włożyłem ją do szklanki z wodą mineralną.

W liście, który od niego dostaliśmy tydzień wcześniej, pisał, że był dawcą przez dwadzieścia lat i jeśli dobrze liczy, ma w całej Holandii dwusetkę dzieci. Spytałem, czy nie uważa, że to było niebezpieczne:

– Robiłeś to przez dwadzieścia lat. Stworzyłeś coś rozmiarów małej wsi! Wieś pełną swoich dzieci.

– Niektóre kobiety przyjeżdżały do kliniki z Maastricht, niektóre z Groningen, a nawet ze Szwajcarii. Nie wszystkie dzieci są w jednym miejscu. Nie widzę zagrożenia – odpowiedział.

– To szaleństwo.

– Nie wiem, o czym mówicie. Chciałem podzielić się swoim nasieniem z jak największą liczbą kobiet. To było moje największe marzenie: mieć dużo dzieci. Mieć ich najwięcej ze wszystkich. Być lepszym niż inni mężczyźni.

Maaike dodaje: – Powiedział, że dla niego mężczyzna, który ma piątkę dzieci, jest potężniejszy od tego, który ma dwójkę. Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc nie mówiłam nic. Odpowiadał Matthijs.

– Co to znaczy „mieć”? Nie będziesz nas miał, zapomnij. Nie jesteśmy twoimi dziećmi i nigdy nie będziemy. Co, może mamy cię jeszcze nazywać Stwórcą?

– Jasne, możecie mnie tak nazywać – wyrażnie się ucieszył.

– Bogiem?

– Tak, tak też możecie – powiedział uradowany.

Matthijs wspomina, że na początku rozmowy się wahał, ale po tej wymianie zdań miał już pewność.

Jego biologicznym ojcem jest kompletny świr.

Ten model dziecka nazywa się Jaleesa

Wychodzą. Ale Maaike chce wrócić, przecież nie tak miało być.

To prawda, ostrzegali ich, że dawca różni się od innych ludzi. Nawet on sam w liście ich przed sobą ostrzegął.

Ale dziś mówią zgodnie: na takie spotkanie nie byli przygotowani.

Albo jeszcze mocniej: na to, co się wydarzyło, nie dało się przygotować.

Nie byli gotowi na to, że dawca będzie badał ich twarze, porównywał je, dotykał z uwagą, jakby coś sprawdzał. Podczas spotkania z bliźniętami baczniej przyglądał się Matthijsowi niż Maaike, bo był od niego bardziej podobny. Taki był jego jedyny cel: dostrzec w nich siebie. Znaleźć podobieństwo w twarzach, w ruchach, w gestach.

Nie byli gotowi na różne zdania, które padły z jego ust.

Bo on wszystko rozumie dosłownie: telewizyjny występ Maaike i Matthijasa odebrał jako wołanie o pomoc. Mówił, że ich adres znał od zawsze, ale dostał od doktora informację, że nie wolno mu ich szukać, bo są szczęśliwą rodziną.

Sam nie założył żadnej rodziny. Kiedy zrozumiał, że mieli złe doświadczenia z ustawowym ojcem, postanowił „przybyć na ratunek”.

Niegotowi byli i na to, że nie dopuści ich do głosu.

– Cały czas gadałeś, zepsułeś mi taką ważną chwilę – powiedziała Maaike do Matthijasa tuż po tym spotkaniu.

– Nieprawda, Maaike, to dawca gadał.

– Wracamy. Chcę wejść jeszcze raz i spotkać zupełnie innego człowieka – powiedziała Maaike, krzywiąc się. – To nie jego krew płynie w moich żyłach. Zaszła pomyłka. Nie jego wyobrażałam sobie całe życie, miało być inaczej.

Matthijs pokręcił głową.

– Nie, Maaike, już koniec. To on, znalazłaś. Nikogo więcej nie będzie. Wiesz wszystko, nie jest supermanem. Teraz pogódź się z tym. Żyj dalej.

Ale te słowa nie przeszły Matthijsowi przez gardło łatwo. Na pamiątkowym zdjęciu z tamtego spotkania wymuszone uśmiechy

mają oboje. Kiedy Matthijs wrzuca swoje zdjęcie z dawcą do sieci, ktoś komentuje: „Matt, wyglądasz zupełnie jak twój tata!”.

Tata?

Wspomina, że na końcu spotkania powiedział do dawcy: „Wiesz, w sumie nie miałem nigdy ojca, nie muszę go mieć i teraz. Jak dla mnie wszystko jest już jasne. Dziękuję, do widzenia!”.

Dawcę spotykają po kolei wszystkie Połówki. Wymieniają między sobą wrażenia. Henrik wspomina, że nie był zawiedziony. Spotkanie trwało godzinę, może dwie. To prawda, dawca gadał i gadał. Nie był zainteresowany niczym prócz opowiadania o historii rodziny. Fakt, nie zadał żadnego pytania ani Henrikowi, ani Jaleesie.

– Ale było w porządku, bo nie spodziewałem się wiele – tłumaczy Henrik. – Rozumiem, że Maaïke miała duże oczekiwania. Jeśli wyobrażasz sobie ojca superbohatera, a poznajesz dziwnego typa, który mówi tylko o sobie, masz prawo do rozczarowania. U mnie spełnił się plan maksimum: odnaleźć biologicznego ojca, żeby móc wypić z nim czasem kawę. Nic poza tym. „To tylko dawca nasienia”, tak trzeba sobie powtarzać – wzrusza ramionami.

Na pierwszych spotkaniach dawca prosił ich, żeby powysyłali mu informacje o sobie mejlem. Bo przecież i tak nie zapamięta wszystkich naraz.

Maaïke powiedziała mu, że to nie jej problem. Jeśli chce ją poznać, powinien robić to na jej zasadach, a nie poprzez formularz: imię, wiek, stan cywilny, studia. Nie jest przecież numerkiem na liście.

O tym, że jednak nim jest, dowiedziała się później.

– Znaleźliśmy stronę – mówi Maaïke – gdzie były skatalogowane nasze zdjęcia i krótkie opisy, „numer jeden, Henrik, historyk, lat 26”. Tak jak przewidywałam. To było dostępne w internecie, dla każdego. Poprosiliśmy, żeby usunął.

Wydanie pierwsze, Warszawa 2017

Copyright © Instytut Reportażu 2017

Copyright © Kamil Bałuk 2017

REDAKCJA

Magdalena Petryńska

KOREKTA I POPRAWNOŚĆ JĘZYKOWA

Danuta Sabała

KONSULTACJA MERYTORYCZNA

prof. Ewa Pisula

Olga Niziołek

PROJEKT GRAFICZNY I TYPOGRAFICZNY SERII I OKŁADKI

Magdalena Wdowicz-Wierzbowska

ADAPTACJA PROJEKTU OKŁADKI

Dominika Jagiełło /OneOnes Creative Studio/

www.behance.net/OneOnes

SKŁAD I ŁAMANIE

Michał Wysocki

ZDJĘCIE NA OKŁADCE

Magdalena Franczuk

ZDJĘCIE AUTORA

Filip Skrońc

DRUK I OPRAWA

Drukarnia Garmond www.garmond.pl

ISBN 978-83-947254-2-6

REDAKTOR NACZELNA WYDAWNICTWA

Julianna Jonek

KOORDYNATORKA WYDAWNICTWA

Małgorzata Borowska



Wydawnictwo Dowody na Istnienie

Imprint Fundacji Instytut Reportażu

Gałczyńskiego 7, 00-362 Warszawa

www.dowody.com

dowody@instytutR.pl, promocja@instytutR.pl